

Zaczęło się to wszystko pod wpływem chwili. Skończyło się tak samo. Pomędzy tymi chwilami spędziłam z Charlesem Bukowskim prawie dwa lata. W swej twórczości czasem mnie adorował, czasem ganił. Wywyższał mnie jako swoją muzę i brakujący fragment siebie. Zainspirowałam całe tomy prozy i poezji, peanów na moją cześć, na cześć Scarlet. Potem oskarżał mnie o nieszczerłość i oziębłość. Zakochał się we mnie do obłędu i do obłędu go doprowadziłam.

Był 10 listopada 1975 roku; przepiękny, jesienny wieczór w Los Angeles. Większość tego wieczoru spędziłam, włócząc się po barach z przyjaciółką, Georgią. Były to jej trzydzieste drugie urodziny, a ona chciała je uczcić na klasyczną modłę Bukowskiego: zaliczając każdy bar w Hollywood. Dwie krnąbrne, roztańczone, czarujące dziewczyny z niepełnym wykształceniem, imprezujące z meliniarzami, poczynając od melin po wschodniej stronie miasta, a kończąc po

zachodniej.

Poszukiwanie przyjemności było jedną z niewielu rzeczy, w których byłam naprawdę dobra. W wieku dwudziestu trzech lat harowałam jako podrzędna kelnerka, bez szczególnych widoków na znalezienie lepszego sposobu na utrzymanie. Byłam samotną matką z sześciolletnią córką na utrzymaniu, znalezienie czasu i pieniędzy na uzupełnienie wykształcenia nie wchodziło w grę. Podobnie jak wielu w tamtych czasach, byłam zagubiona, żyłam z dnia na dzień, ale nigdy nie traciłam nadziei, że czeka na mnie coś ekscytującego. Nie wiedziałam, co to jest ani gdzie tego szukać, ale wiedziałam, że istnieje.

Ale dopóki tego nie znalazłam, albo to nie znalazło mnie, miałam zamiar kontynuować moją codzienną pogonę za natychmiastowym spełnieniem. Do diabła z tym całym planem na pięć lat, byłam zbyt zajęta życiem chwilą. Nie brałam ani siebie, ani życia szczególnie na serio i generalnie łatwo było mnie zadowolić. Po swojej stronie miałam młodość i atrakcyjny wygląd. Dopóki miałam pełną paczkę papierosów, dobrą muzykę do słuchania oraz butelkę taniego szampana, dzień zaliczałam do udanych.

Tak jak u Alicji z Krainy Czarów, moja impulsywna, awanturnicza natura często sprowadzała mnie na kręte ścieżki, przez co czasami gubiłam drogę.

Tego wieczoru ów głód włóczęgi miał zaprowadzić mnie na trasę wzdłuż ulicy o nazwie Carlton Way. Skręciłam tam w lewo i spotkałam Charlesa Bukowskiego – a moje życie odmieniło się.

Byłyśmy z Georgią już u ostatniej stacji naszej podróży – w huczącym od rock’n’rolla klubie pod nazwą Barney’s Beanery w Zachodnim Hollywood. Georgia uparła się, by tam pójść, ponieważ niegdyś przesiadywała tam jej idolka, Janis Joplin. Wedle legendy Janis właśnie tam spędziła swój ostatni wieczór, kiedy umarła pięć lat wcześniej.

Siedziałyśmy przy barze i zbliżała się pora zamknięcia. Wypiłam więcej niż parę stingerów, podczas gdy Georgia, idąc w ślady Janis, upijała się southern comfortem. Kiedy czekałyśmy na następną kolejkę, zaczęła głośno bełkotać coś o swym najnowszym bohaterze – pisarzu, niejakiem Charlesie Bukowskim. Przy każdym kieliszku whiskey wznosiła toast za „laureata Poetyckiej Nagrody Śmietnikowej”.

– Bukowski to, kurwa, największy z żyjących pisarzy – krzyczała do każdego, kto chciał słuchać, czyli wyłącznie do mnie. – Za Bukowskiego! – powiedziała, po czym odchyliła głowę do tyłu i wlała sobie zawartość kieliszka do gardła.

– Czy to nie jest aby ten gość, który pisze ten cykl we „Free Press”, Zapiski starego świntucha? – zapytałam.

– Tak, to on. Mówię ci, Pam, ten facet to pieprzony geniusz.

Nie licząc jego cotygodniowej kolumny w „Los Angeles Free Press”, nie wiedziałam właściwie nic o Bukowskim, jego twórczości ani rosnącej literackiej reputacji. Przeczytałam parę z tych kolumn i nie byłam pod wielkim wrażeniem. Jego styl wydawał się prostacki i wulgarny, pełen ostentacyjnego brudu, obliczony na wywołanie szoku. Nie byłam pruderyjna – podobały mi się sprośne, bezkompromisowe utwory Henry’ego Millera i Huberta Selby’ego Juniora. Ale w kontekście tej odrobiny twórczości Bukowskiego, jaką poznałam, trudno mi było zrozumieć tak gigantyczny entuzjazm przyjaciółki.

– No nie wiem, George... To, co on pisze, wydaje się takie prostackie, prymitywne – spróbowałam, gdy barman podawał następną kolejkę.

– Och, proooszę, Święta Abdelo – powiedziała, przeszywając mnie spojrzeniem zielonych, kocich oczu. – Zwyczajnie nie rozumiesz. Gość pisze wszystko: prozę, poezję... Jest, kurwa, niesamowity. Przeczytaj którąś z jego książek.

Choć byłam młoda i nie całkiem jeszcze wykształcona, kochałam czytać i polegałam na rekomendacjach starszych, bardziej intelektualnych znajomych. Georgia była jedną z moich bardziej ekscentrycznych przyjaciółek, ale zarazem jedną z najbardziej odczytanych osób, które znałam. Uznałam, że wiem zbyt mało o jego twórczości, by polemizować. Stwierdziłam, że skoro ona go lubi, gość musi być dobry.

– Bukowski jest nieuchwytny. Jego rzeczy są tak surowe, tak prawdziwe... I do tego jest kurewsko zabawny. Uwielbiam tego sukinsyna! – powiedziała, z każdą kolejką podnosząc głos.

– Musisz mi pożyczyć którąś z jego książek.

– Kuuurde, za każdym razem, jak sobie jakąś kupię, jakiś skurwiel mi ją podpierała.

Nie budziło to zdziwienia, bowiem hollywoodzki dom Georgii był magnesem na dziwaków i barwnych przedstawicieli bohemy, którzy żywcem urwali się z filmu Andy’ego Warhola. Na jej chacie ciągle toczyła się jakaś szalona impreza, przeważnie z użyciem alkoholu i narkotyków. Czasami Georgia dodawała do tej mieszanki stroboskopowe światła albo generator dymu. Kradzież książki Bukowskiego byłaby jednym z pomniejszych ekscesów, jakie przydarzyły się pod jej dachem.

– Mówiąc szczerze, George, trudno mi zrozumieć twoje zaaferowanie tym całym Bukowskim. Chyba będę musiała przeczytać którąś z jego książek, to, co czytałam w prasie, zwyczajnie mi nie podchodzi – powiedziałam, osuszając szkło.

– Słuchaj... Przeczytaj jakąś jego książkę, a potem powiedz mi, czy nie jest najzajebistszym pisarzem. Nie ma drugiego takiego jak on. – Wlała w siebie następny kieliszek, po czym powiedziała: – Chciałabym poznać tego skurwysyna.

W mojej głowie zaświtał pomysł, i jeśli jest coś takiego jak przeznaczenie, to było właśnie to. Wiedziałam, że nie mogę wskrzesić Janis, ale mogłam zrobić coś prawie równie dobrego.

– Chodźmy – powiedziałam, zeskakując ze stołka.

Kręciło mi się trochę w głowie, nie mogłam sobie przypomnieć, ile kolejek wypiałam. Sięgnęłam do torebki Georgii i szperałam w niej, aż znalazłam dexi. Wrzuciłam go do ust i połknęłam.

Georgia była chodzącą apteką. Póki się przyjaźniłyśmy, nigdy mi nie mogło zabraknąć. Panował wówczas inny klimat – za modne uznawane było eksperymentowanie z różnymi psychotropami. Ale moim faworytem była amfetamina. Nałóg zaczął się niewinnie. Chciałam tylko zrzucić parę kilo. Ale, choć straciłam na wadze, nadal brałam pigułki. Uwielbiałam, jaka po nich czułam się nieustraszona, jak wszystko zdawało się być pod kontrolą. Uznałam, że mogę rzucić, kiedy tylko zechcę – nie było żadnego syndromu odstawienia, którym można by się przejmować, co najwyżej prześpię parę dni – prawda?

Głowa Georgii pochylała się coraz niżej i niżej nad barem. Szarpnęłam ją za ramię.

– Zbudź się, George, pora ruszać.

– Nawet jeszcze nie zamykają – wymamrotała.

Obejrzałam się na gościa za mną i zerknęłam na jego zegarek. Była prawie druga. Odwróciłam się z powrotem do Georgii, ale koleś od zegarka miał inny pomysł. Włożył dłonie w tylne kieszenie moich džinsów i przyciągnął mnie ku sobie.

– Jak masz na imię, piękna? – wyszeptał mi do ucha, po czym wysunął dłonie z moich kieszeni i przeczesał mi włosy. – Nie mogę się oprzeć rudowłosym – powiedział.

– A ja z kolei nie mogę się oprzeć dżentelmenom – powiedziałam. Po czym spojrzałam mu w oczy i dodałam: – Daj mi znać, jak jakiegoś zobaczysz.

Zmrużył oczy, zastanawiając się, czy powinien się obrazić. Ale potem obejrzał mnie od stóp do głów i uśmiechnął się. Nie mógł się oprzeć magii rudych włosów, nawet po tym, jak mu ubliżyłam.

Nie uważałam się za klasyczną piękność, ale z biegiem lat przyzwyczaiałam się do efektu, jaki wywierałam na mężczyznach. Może to te długie, ogniste włosy. Może to moja filigranowa figura o wymiarach 96-60-90. Ludzie często mówili mi, że wyglądam jak skrzyżowanie Ann-Margret i Susan Sarandon. Był to jakiś wrodzony, potężny seksapil, który potrafił mnie wpędzić w wiele kłopotów – i z wielu kłopotów mnie wyratować.

Kiedy odwróciłam się do Georgii, jej głowa spoczywała już na barze. Do tej pory wypiała już jakąś połowę southern comfortu, więc nie byłam zaskoczona, że odpłynęła. Ale ja miałam misję do wykonania. Miałam zamiar podarować jej noc, której nigdy nie zapomni.

– Proszę, George, zbudź się – powiedziałam, potrząsając ją za ramię. – Dam ci najlepszy prezent urodzinowy w życiu.

Otworzyła oczy, ale nie podniosła głowy z baru.

– Wezmę twarz bogini i cycki do kompletu – wybełkotała.

Georgia miała obsesję na punkcie swego wyglądu. Chciała być piękna i szczupła. Niedawno zrzuciła ponad pięćdziesiąt kilo, więc osiągnęła połowiczny sukces. Ale nie była atrakcyjną kobietą. Jej twarz była długa, prawie końska, a jej rysy zdawały się przesadzone. Miała wydatny nos z zadartą końcówką, jak narta, zwieńczony parą wielkich nozdrzy. Jej usta były nieprzeciętnie szerokie, podkreślone głębokimi zmarszczkami od śmiechu. Choć miała dopiero trzydzieści dwa lata, zaczynała okazywać oznaki starzenia się – zapewne od gwałtownej straty wagi i folgowania narkotykom. Nie, żeby jej wygląd, czy raczej jego brak, przeszkadzał jej w przyciąganiu uwagi mężczyzn. Miała te piękne, zielone oczy i długie, jedwabiste, kruczoczarne włosy. Mężczyźni kochali jej osobowość nie z tej planety, bystry intelekt i kocie usposobienie. Była koneserką męskiego rodu i jedynie najatrakcyjniejsi z nich byli jej godni – i niemal zawsze dostawała to, czego chciała.

– No chooodź, George, nie żartuję! – powiedziałam. – Umrzesz, jak zobaczysz, co zrobię!

– Słuchaj no, Bubbles McGee, czy jak tam nazywał cię ten twój chłopak. Wszyscy kiedyś umrzemy. Nikt nie wyjdzie stąd żywy – mruknęła.

– Cupcakes O'Brien – poprawiłam ją. – A teraz chodźmy!

Jakoś udało mi się wyciągnąć Georgię z baru i doprowadzić do budki telefonicznej koło parkingu. Oparłam ją o budkę i sięgnęłam do kieszeni džinsów, by wydobyć dziesięciocentówkę.

– Jeśli dzwonisz po Billa [imię nieprawdziwe], daj sobie spokój – powiedziała Georgia, odnosząc się do chłopaka, który z nią mieszkał. – Powiedziałam mu, że nie wrócimy przed świtem.

Wrzuciłam monetę do aparatu, położyłam palec na zerze i zakręciłam tarczą.

– Jak się pisze Bukowski? – zapytałam Georgii, wystawiając głowę z budki.

– Jeśli dzwonisz do biblioteki – powiedziała – to jest, kurwa, zamknięta.

– Po prostu mi przeliteruj – odparłam.

– Pisz się tak, jak się wymawia – powiedziała, po czym oderwała się od budki i poszła w stronę baru, by wysepić papierosa od jakiegoś atrakcyjnego faceta, który go opuszczał.

Nie pamiętałam nawet, jak się wymawia „Bukowski”, a co dopiero pisze. BU-kowski? BOO-kowski? BUCK-

-owski?

Kiedy w końcu odebrała operatorka, powiedziałam:

– Poproszę numer do Charlesa Bukowskiego, Los Angeles.

Nie zapytała mnie, jak to się pisze ani pod jakim adresem mieszka. Od razu wyterkotała numer telefonu.

– Mogłaby pani powtórzyć? – poprosiłam, szperając po torebce w poszukiwaniu czegoś do pisania. Znalazłam ołówek do brwi Maybeline i naskrobałam numer na lewej dłoni.

Gdy odwiesiłam słuchawkę, pobiegłam do Georgii, wciąż zajętej podrywaniem swej młodej ofiary.

– Mam! – zapiszczałam, machając dłonią przed jej twarzą.

Zmrużyła oczy, wpatrując się przez chwilę w numer i z trudem trzymając pion. Po czym odwróciła się do młodego i powiedziała:

– Wybacz na sekundę, kotku. – Po czym znowu do mnie: – Jeśli dzwonisz do AA, to mnie w to nie mieszaj.

– To numer Bukowskiego – powiedziałam, prowadząc ją z powrotem do budki. Oparłam ją znów o ścianę, wrzuciłam dziesięciocentówkę do szczeliny i wykręciłam numer z mojej dłoni.

– Halo? – wyszeptał męski głos z drugiej strony linii.

– Halooo – powiedziałam, starając się brzmieć seksownie. – Czy to Charles Bukowski?

– Taa – odparł, jakby pytanie go znudziło.

– Och, cześć... Mmm... Moja przyjaciółka ma dziś urodziny i jest twoją wielką fanką. Jesteśmy przy Barney's Beanery i zastanawialiśmy się, czy może mogłybyśmy wpaść do ciebie, żeby się poznać?

– Dobra – powiedział tym samym znudzonym tonem. – Dawajcie.

– Och... dobrze – powiedziałam, nie pomyślawszy, że to będzie takie proste. – Jaki masz adres?

– Jestem przy Carlton Way 5437. To pomiędzy Hollywood a Bulwarem, w bok od Zachodniej Alei. Przedni dom z prawej.

Zapisałam adres obok jego numeru.

– Znajdziemy – powiedziałam, zerkając na Georgię, która ześliznęła się po ścianie budki.

– Przynieście sześciopak – rzekł, po czym dodał: – Och, już po drugiej – odnosząc się do zakazu sprzedaży alkoholu w Los Angeles po tej godzinie.

– Zdziwiłbyś się, co potrafi zdziałać para cycków – powiedziałam.

– Niespecjalnie – odparł.

Odwiesiwszy słuchawkę, obejrzałam się na Georgię, która siedziała już na chodniku. Twarz miała rozciągniętą w głupim uśmiechu, a jej zielone oczy lśniły. Podniosła na mnie wzrok. Jej usta były otwarte.

– I załatwione! Poznamy twojego kochasia! – zakrzyknęłam, podając jej dłoń.

– Załatwione jak chuj – odparła sarkastycznie, otrzepując swoją mini. Po czym zrobiła pauzę i powiedziała: – Robisz mnie w ciula? Lepiej, żeby to nie była ściema, Pam.

– Nie ściemniam. Sama słyszałaś, jak z nim rozmawiam.

Potoczyłyśmy się bulwarem Santa Monica, by odnaleźć moje czerwone camaro z 1967 roku. Georgia na swoich wielkich koturnach, a ja na szpilkach.

– Jak brzmiał? – spytała Georgia.

– Ma dziwny głos... miękki... prawie kobiecy. Brzmi trochę jak ten bohater z kreskówek, Snagglepuss, tylko w depresji. Nie mogę uwierzyć, że o tej porze jeszcze nie śpi.

– A kto śpi?

Gdy wędrowałyśmy wzdłuż ulicy, Georgia zaczęła śpiewać na nutę hitu Janis Joplin Mercedes Benz.

– O Panie, pomóż znaleźć mi, moje camarooo! Moja kumpela to świrka z rudą fryzuroooo!

Tak naprawdę to było camaro mojej matki. W wieku dwudziestu trzech lat wciąż nie miałam własnego samochodu, ani nawet prawa jazdy. Matka pozwalała mi brać wóz, kiedy tylko potrzebowałam. Myślę, że się cieszyła, mając mnie z głowy – a może podświadomie liczyła, że zginę w wypadku, wybawiając ją z całego tego piekła, które sprawiałam jej przez ciągłe poszukiwania nowych podniet. Wciąż się kłóciłyśmy i nigdy nie zmarnowała okazji, by mi powiedzieć, jak bardzo się na mnie zawiodła. Ale trudno mi ją winić. Choć pracowałam i miałam własne mieszkanie, każdy powód był dla mnie dobry do nowej nocnej awantury. Kiedy nie potrzebowałam jej dla samochodu, do niańczenia dziecka, ciągłego pożyczania pieniędzy albo, czasami, dla kąta do spania, nie chciałam mieć z nią nic do czynienia. Dziś została z moją sześciolletnią córką, Stacey. Urodziłam ją, kiedy miałam szesnaście lat. Wiedziałam, że powinnam być w domu i się nią zajmować, ale moje pragnienie ucieczki było silniejsze od poczucia winy. Miałam zbyt wiele obowiązków, kiedy byłam młodsza, więc teraz desperacko poszukiwałam tych straconych lat.

Georgia wbiła mi łokieć pod żebro.

– Hej, Lucy, tam jest ta czerwona gablota!

– Dobra robota, Ethel!

Wskoczyłyśmy do wozu, podkręciłyśmy radio i podjechałyśmy do całodobowego safewaya przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Georgia czekała w wozie, żebym bez przeszkód mogła użyć swej magii rudych włosów dla pozyskania sześciopaku po dozwolonej godzinie.

Zrobiłam, co mogłam, by oczarować sprzedawcę, błyskając uśmiechem i pozwalając mu złapać parę ujęć moich 96D. Miałam na sobie swój typowy strój menelki z wyższych sfer – obcisłe džinsy, wysokie obcasy, głęboko wycięty top i schludną, tweedową kurteczkę z łatami na łokciach. Choć oczy sprzedawcy mówiły „tak”, jego głowa kręciła się na „nie”.

– Nie mogę – powiedział.

– Och, proszę – zamruczałam swym najlepszym kocim głosem.

Potrząsnęłam rudą grzywą i spojrzałam mu w oczy. Był młodym dzieciakiem, może jeszcze przed dwudziestką, widziałam jego rozterkę. Chciał być fajnym gościem i pomóc uroczej dziewczynie, ale coś mu nie pozwalało.

– Chciałbym – powiedział, i wiedziałam, że nie kłamie. – Ale po prostu nie mogę.

– No daj spokój... proszę – zamiauczałam, pochylając się w jego stronę.

– No... dobra – wyszeptał – ale nie mogę teraz, bo mój szef stoi zaraz za nami. Kończę za godzinę. Spotkajmy się przed wejściem, na parkingu. Wyniosę piwa pod kurtkę. Co ty na to?

– Nie, to nie wyjdzie. Naprawdę potrzebuję na zaraz – powiedziałam, wydymając usta.

– Dobra, zrobimy tak... Spotkajmy się w dziale z nabiałem za pięć minut...

Wtedy jego szef krzyknął:

– Steven, możesz tu podejść na sekundę?

– Jasne, panie Phillips. Już idę.

Zadanie robiło się zbyt skomplikowane. Postanowiłam dać sobie spokój z biednym chłopakiem i wróciłam z pustymi rękami.

Kiedy dotarłam do wozu, Georgia drzemała. Dźgnęłam ją w żebra, a ona podskoczyła do pionu, rozglądając się wielkimi oczami.

– Już dojechaliśmy? – zapytała.

Ruszyłam, rozpędzając się, wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca. Z radia rwało Rhiannon zespołu Fleetwood

Mac. Georgia zawodziła razem z nim, zupełnie mieszając słowa i zagłuszając melodyjne tony Stevie Nicks. Jej głowa toczyła się w tył i w przód, w lewo i w prawo, jak u lalki, gdy gnałyśmy ulicą. Zastanawiałam się, czy zażyła więcej tabletek, kiedy byłam w sklepie.

Kiedy pięć lat wcześniej poznałam Georgię, miała gigantyczną nadwagę i wyglądała jak zaniedbana kura domowa z przedmieścia. Eksperymentowała już z narkotykami, ale tylko rekreacyjnie. Zapaliła sobie marihuany, wypita parę drinków i od czasu do czasu wzięła jakiś barbiturat albo dwa.

Nie miałam od niej żadnych wieści, odkąd trzy lata wcześniej wyjechała z Los Angeles do swojego rodzinnego Bradford w Pensylwanii – skąd też pochodzili moja matka i ojciec. Więc kiedy weszła do restauracji, gdzie pracowałam, by mnie zaskoczyć, nie poznałam jej. Zmieniła się diametralnie, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Ale wciąż miała ten swój nonszalancki, nieskrępowany styl i sardoniczny humor, które mnie zawsze strasznie bawiły.

Ale teraz, jak podejrzewałam, dojrzała już do twardych narkotyków. Nie wiedziałam, jak często używała heroiny, ale byłam pewna, że przekroczyła już granicę tego niebezpiecznego terytorium. Uznałam, że im mniej wiem, tym lepiej. Pod wieloma względami byłyśmy kompletnymi przeciwieństwami, w tym odnośnie preferencji w odmienianiu stanów świadomości; ja lubiłam być pobudzona i mieć wszystko pod kontrolą, a ona wołała się znieczulać.

Pędziłyśmy teraz niemal pustymi ulicami. Ale gdy dotarłam do Zachodniej Alei, ruch zrobił się gęstszy – pod każdym względem. Znalazłyśmy się w sercu dzielnicy czerwonych latarni. Samochody pełzły wzdłuż parady dziwek, męskich i żeńskich, dobijano targu, ludzie wskakiwali do wozów albo z nich wyskakowali.

Na Western skręciłam w lewo i przejechałam kilka przecznic w stronę Bulwaru Hollywoodzkiego. Sex shoppy, kluby ze striptizem i salony masażu reklamowały swoje towary szyldami obramowanymi jasnymi, migającymi żarówkami. Wahadło moralności dotarło do drugiego ekstremum, w porównaniu z represją lat pięćdziesiątych. Granice cenzury rozciągnęto do samego limitu.

Gdy zbliżyłyśmy się do Bulwaru Hollywoodzkiego, pojęłam, że musiałam minąć ulicę Bukowskiego. Zawróciłam na środku Zachodniej Alei i znów pojechałam w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca. Georgia masakrowała teraz słowa piosenki Eaglesów, *Lyin' Eyes*, co pogłębiało moją frustrację.

– Może dał ci fałszywy adres – powiedziała Georgia.

– Nikt nie daje ci fałszywego adresu, kiedy zamawia sześciopak.

Georgia majstrowała teraz przy czarnych nylonach, które marszczyły się jej na kolanach. Odkąd tak bardzo straciła na wadze, nie mogła znaleźć niczego, co by na nią pasowało. Po latach noszenia ciężówek i elastycznych gaci wreszcie zaczęła się stroić. Tyle że nie wiedziała, co jest modne, więc stworzyła własną modę. Uznała, że modna kobieta ubiera się jak ulicznica – miniówki, siatkowe pończochy (na pasku), ultra skąpe bluzeczki i koturny. Czasami dodawała do tego boa z piór albo kabaretową opaskę na szyję, bo tak robiła Janis.

Georgia miała później zdobyć pewną popularność, gdy została sfotografowana z Charlesem Bukowskim na tle jego lodówki. Na tym sławnym zdjęciu wygląda jak narąbana prostytutka. I tak też mniej więcej wyglądała tej nocy.

Gdy tak jechałyśmy na południe Zachodnią Aleję zaczęłam się zastanawiać, czy Georgia czasem nie miała racji co do tego fałszywego adresu. Miałam wrażenie, jakbyśmy jeździły w kółko.

– Gdzie my, do diabła, jesteśmy? – narzekała Georgia.

– Cholera, to musi być gdzieś tutaj. Znajdziemy tego twojego geniusza, choćby miało to zająć całą noc!

I wtedy, jak na zawołanie, dostrzegłam znak z nazwą Carlton Way. Skręciłam w lewo i znalazłam miejsce do zaparkowania dokładnie naprzeciw kompleksu, gdzie mieszkał Bukowski.

Georgia poprawiła pończochy i wytoczyła się z wozu. Przeczesałam dłońmi włosy i wyprostowałam grzbiet, szykując się na spotkanie z wielkim pisarzem.